

ROZMOWA PRZEPROWADZONA W LUBLINIE W DNIU 14 SIERPNIA 1939 ROKU
Z PANEM TADEUSZEM OSSOWSKIM

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Urodziłem się 17.12.1929 roku w Lublinie. Ojciec mój, Ludwik Ossowski, przed wojną był zawodowym wojskowym do 1939 roku, czego dowodem jest, że za działania wojenne 1939 roku został po wojnie odznaczony "rzyżem Virtuti Militari. Za czasów okupacji niemieckiej zamieszkiwałem w Lublinie wspólnie z rodzicami.

W 1942 roku zostaliśmy przesiedleni przez Niemców z Alei Racławickich na Stare Miasto. Było to jeszcze przed opróżnieniem Starego Miasta z Żydów. Pamiętam getto na Starym Mieście. Przebywając w okolicach getta jako dzieciak, zapamiętałem bardzo dużo faktów. Pamiętam nawet, jak getto przebiegało i jak było wygrozione w czasie okupacji. Mieszkałem na Rynku 8 na pierwszym piętrze tego budynku, gdzie w podziemiach mieściła się winiarnia. Ogródzenie getta rozciągało się od połowy ulicy Grodzkiej, zamykało plac kościoła, następnie Podzamczem od Podwala, w okolicach Zamku, a dalej ulicą Noworybną, Kowalską, aż do ulicy Ruskiej. Codziennie przez Stare Miasto szły na Zamek patrole. W Bramie Grodzkiej patrol przechodził po schodkach, następnie wychodził na Podwale i wchodził do więzienia. W okolicach Bramy Grodzkiej odbył się zamach na jeden z patroli niemieckich, bezpośrednio po przejściu żołnierzy. Zetknąłem się z tym, że podobno zginęło tam dwóch żołnierzy niemieckich, jednak nie potwierdzam tego faktu. Znajdowałem się w tym miejscu bezpośrednio po wybuchu. Poleciałem tam popatrzeć, wiedziony dziecięcą ciekawością. Jednak zabitych żołnierzy niemieckich nie widziałem. Działo się to w godzinach południowych. W tym czasie całe Stare Miasto zostało osaczone przez Niemców. 4 domów wybierano

starszych mężczyzn, m.in. zabrano mego ojca. Z rękoma podniesionymi do góry wyprowadzono go na Grodzką. Tam postawiono go pod ścianą. Po wylegitymowaniu przetrzymywano go jeszcze około dwóch godzin. Po tym czasie część osób zabrano, a resztę puszczono, m.in. mojego ojca.

Pomimo młodego wieku, pod koniec okupacji niemieckiej należałem do Szarych Szeregów. Pracowałem w konspiracji. Bezpośrednio czynnego udziału w partyzantce nie brałem. Niemniej jednak miałem wyznaczone zadania, polegające na przenoszeniu gazetek, ulotek do specjalnych punktów. Do pracy konspiracyjnej zostałem namówiony przez Jurka Kijowskiego. Był on starszym bratem mego kolegi. Za okupacji niemieckiej brał czynny udział w szeregach Armii Krajowej. Bezpośrednio po wyzwoleniu był ścigany. Jedynie jego wyjazd wraz z rodzicami z Lublina zaraz po wyzwoleniu uchronił go przed aresztowaniem. Jurek, znając mój dom i środowisko, w którym wychowywałem się, wciągnął mnie do konspiracji. Za okupacji mieszkałem na Starym Mieście na ulicy Rynek 8, zaś rodzina państwa Kijowskich mieszkała na ulicy Archidiakońskiej. Stąd nasz kontakt. Z bratem Jurka, moim rówieśnikiem, kontaktowałem się na co dzień. Do konspiracji nie zostałem przyjęty z otwartymi rękoma. Długo mnie obserwowano i badano moje środowisko, zanim mogłem być przyjęty do AK.

Również swojej siostrze zawdzięczam wciągnięcie mnie do pracy konspiracyjnej AK. Siostra brała czynny udział w Armii Krajowej. Dzisiaj jest nawet członkiem ZBoWiD. Osobiście o przynależność do ZBoWiD-u nigdy nie występowałem i nadal nie ubiegam się o to, ponieważ po prostu nie chcę tego.

Zadania nasze były różnorakie. Najczęściej dawano mi do przeniesienia jakieś przesyłki pod wskazany adres lub zlecano przeniesienie ich stamtąd. Nigdy nie pytałem, co przenoszę. Rozlepialiśmy

ulotki. Taka sama działalność, choć już może w mniejszym zakresie, była również po wojnie.

W dniu 22 lipca 1944 roku po wejściu Rosjan, wspólnie z siostrą i grupką kolegów, udaliśmy się do więzienia na Zamku Lubelskim w celu odszukania więzionego tam wujka. Do więzienia wchodziłem dosłownie w tym momencie, kiedy z więzienia wychodziły nieliczne grupy więźniów Zamku Lubelskiego. Pamiętam dokładnie postać lotnika radzieckiego, którego widok budził we mnie strach. Był cały obandażowany, ręce miał na wyciągach. Podczas jakiegoś lotu samolotu radzieckiego został przez Niemców zestrzelony i przywieziony do Zamku.

Kiedy wchodziliśmy do więzienia, ktoś krzyknął, że więzienie jest podminowane. Cofnęliśmy się na moment. Jednak jakaś wewnętrzna siła pchała nas dalej, aby tam pójść i zobaczyć. Po schodkach szliśmy do celi numer 35. Była to cela krawiecka, do której droga była wysłana trupami. Przed celą stał taboret, cały podziurawiony od kul. Podejrzewam, iż po rozstrzelaniu na tym taborecie więźniów, następni więźniowie układali zwłoki w stosy. Stosy trupów były poukładane jeden na drugim z niemiecką dokładnością. Wszędzie, a szczególnie w celi krawieckiej, pełno było krwi, aż po kostki. Gdy dotarliśmy do tej celi, spośród trupów ukazał się nam żywy człowiek. Niemcy dokonywali egzekucji więźniów w pośpiechu. Ten człowiek był ranny dwoma postrzałami, jeden z nich trafił go w nogę. Wyprowadziłem go przed więzienie, przed którym stał chłop z furmanką. Ułożyliśmy go na furze i przykryliśmy słomą. Chłop zawiózł go gdzieś na Dziesiątą. Później dowiedziałem się, że rannym więźniem był pan Kwater.

Przebiegając przez cele, widziałem jak wszędzie, a zwłaszcza w gabinetach esesmanów, było porozrzucane masę zdjęć i różne

akta. Chciałbym również wspomnieć o fakcie, o którym dzisiaj wiem znacznie więcej niż wówczas. Wśród osób pomordowanych, w trumnie, znaleźliśmy zwłoki takiego opasłego Szwaba o pseudonimie "Krowa". Zabił go Sławek Jurgo. Wśród postrzelonych osób spotykałem żydowskiego dentystę. Później, w pierwszych dniach po wyzwoleniu, spotykałem go na ulicy, owiniętego w bandażę.

I lipca został aresztowany rodzony brat mojej matki, Tadeusz Budzyński. Proszę sobie wyobrazić, że został rozstrzelany 22 lipca. W momencie, gdy zabieraliśmy zwłoki wujka z Zamku, były one jeszcze zupełnie ciepłe. Zwłoki przenieśliśmy na Stare Miasto. Przez okres frontu wujek leżał w trumnie. Nie wiedzieliśmy, jak długo ten front potrwa. Dlatego jeszcze w trakcie trwania działań wojennych, ojciec mój wraz z gospodarzem domu i dwiema innymi osobami wynieśli tę trumnę do kościoła. Idąc w kierunku Bramy Trynitarzkiej, natknęli się na Niemców, stojących w Bramie z karabinem maszynowym. Znajdując się w pewnej odległości od Niemców, ojciec zapytał, czy mogą przenieść trumnę z ciałem nieboszczyka. Niemiec odpowiedział: "Schnell!". I tak praktycznie odbyło się to. W pośpiechu zanieśli trumnę do katedry i wrócili do domu. W momencie, gdy gospodarz domu zamykał bramę naszego domu, a jest to na wprost Bramy Trynitarzkiej, Niemcy zauważyli, iż są obserwowani. Puścili serię z karabinu maszynowego. Gospodarz, po odniesieniu zwłok wujka do kościoła, za moment sam zginął, padając przy bramie naszego domu.

Zaraz po wyzwoleniu byłem uczniem Państwowej Szkoły Budownictwa. Po wyzwoleniu wśród nas, młodych, tkwiło przeświadczenie, iż to nie jest to, czego pragnęliśmy. Byliśmy niezadowoleni z istniejącej sytuacji. Pociągała nas konspiracja. Efektem tego był

fakt, iż zostałem jednym z pierwszych więźniów. Od lipca 1944 roku do kwietnia 1945 roku minęło zaledwie pół roku. W tym czasie ujawniałem się przed Komisją Likwidacyjną AK, a mimo to byliśmy aresztowani i sądzeni. Podziemie samo w sobie stworzyło warunki do aresztowań, było przyczyną, iż w taki właśnie sposób rozwinęła się sytuacja. Nikt nie był pewien ani dnia, ani godziny. Stale penetrowano po szkołach. My sami nigdy nie prowadziliśmy czynnej działalności w sensie strzelania do kogoś.

W momencie aresztowania miałem niepełne piętnaście lat. W tym samym czasie mój tata, zacny człowiek, przebywał na froncie w stopniu chorążego w II Armii w saperach. Zostałem aresztowany przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa 26 kwietnia 1945 roku o godzinie dwudziestej trzeciej, w domu przy ulicy Skłodowskiej 18 mieszkania 9. Nie wiem, nie potrafię znaleźć odpowiedzi, dlaczego przyjechało po mnie aż tylu funkcjonariuszy - w dwóch willysach. Wpadli do mieszkania z okrzykiem "Ręce do góry!", pozbawiając mnie możliwości jakiegokolwiek poruszenia się po mieszkaniu.

Na liście osób przewidzianych do aresztowania znajdowało się nazwisko Waldka Serafina, który mieszkał w tym samym domu, lecz piętro niżej. W momencie łomotania do drzwi, chłopak wyskoczył z balkonu z pierwszego piętra i tym sposobem uratował się. Walddek uciekł gdzieś w Polskę i nie dał się złapać. Po otwarciu drzwi jego mieszkania, nie zastając go, w jego miejsce aresztowano ojczyrna Waldka Serafina, pana Książkiewicza. Pan Książkiewicz przebywał razem ze mną na Krótkiej i w więzieniu na Zamku, odbywając karę za pasierba. Była to forma zbiorowej odpowiedzialności.

Znane są mi również inne fakty zbiorowej odpowiedzialności,

tw. kotków, jakie miały miejsce w Lublinie. "Kotły" były zakładane u osób podejrzanych przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa. Wtedy nawet przygodny człowiek, który pomyłkowo zadzwonił do drzwi, był zapraszany do wnętrza po to, aby go aresztować w celu przesłuchiwania, czy miał coś wspólnego z osobą, do której przyszedł.

Funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa zabrali mnie do willysa. Zostałem przewieziony na ulicę Krótką do Urzędu Bezpieczeństwa. Tam zostałem skierowany do pokoi na pierwszym piętrze, gdzie oprócz mnie znalazło się jeszcze - dokładnie nie pamiętam - siedmiu lub ośmiu kolegów. Tadek Marzec, Mietek Czechowicz, Jurek Pelczarski - to nazwiska młodych chłopców, moich kolegów z naszej wspólnej sprawy. Reszty nazwisk w tej chwili nie przypominam sobie. Przebywaliśmy w tym pokoju około dwóch godzin.

Grubo po północy wpadło do pokoju tylu śledczych, ilu było aresztowanych. Przywitanie nie należało do przyjemności. Najbardziej utkwilo mi w pamięci kopanie i bicie nas przez śledczych. Następnie zabierano nas do pokoi, gdzie odbywało się przesłuchanie. Vis-à-vis mnie, za biurkiem siedział oficer z Urzędu Bezpieczeństwa. Obok niego stała flaszka wódki z czerwoną nalepką. Ukradkiem dostrzegłem wysuniętą szufladę z leżącym w niej pistoletem. Ręce miałem do tyłu, gdyż taki był wymóg ze strony prowadzącego śledztwo, aby w ten sposób siedzieć. Drzwi były nie zamknięte. Siedziałem zwrócony tyłem do wejścia. Przez te otwarte drzwi co jakiś czas z korytarza skradał się - niczym jakiś pajac czy kot - oficer śledczy, który machajką zacinał po plecach, gdzie popadło. Trwało to gdzieś do godziny trzeciej, może czwartej rano.

Następnego dnia zostaliśmy ponownie wszyscy zgrupowani w tym

samym pokoju, do którego przywieziono nas na początku. Między nami nie było żadnego kontaktu, nie wolno nam było w ogóle porozumiewać się. W pokoju siedział funkcjonariusz Urzędu Bezpieczeństwa z pepeszą i bardzo skrupulatnie przestrzegał, aby nie było między nami jakichkolwiek kontaktów. W tym wspólnym pomieszczeniu przesiadzieliśmy około dwóch dni. Następnie przeniesczono nas do podziemi przy ulicy Krótkiej, do takiej celi obok składu amunicji. Była to mała, niska piwnica bez okien. Przy wejściu znajdowała się rusznikarnia.

Moja mama już następnego dnia po aresztowaniu usiłowała mnie odszukać. Jej poszukiwania nie dały jednak żadnego rezultatu, ponieważ wszędzie odpowiadano jej, że mnie tam nie ma.

W piwnicy siedzieliśmy nas około trzydziestu - trzydziestu dwu mężczyzn. Przebywaliśmy w tym, w czym nas wzięto. Pozbawieni byliśmy jakichkolwiek paczek z zewnątrz. Posiłki były bardzo skromne i skąpe. To była dosłownie vegetacja. Do jedzenia dostawialiśmy polewkę, troszkę chleba i czarną nie słodzoną kawę. Pozbawieni byliśmy jakiegokolwiek kontaktu i możliwości wychodzenia na zewnątrz. Nie było żadnych spacerów. Zostaliśmy kompletnie odizolowani. Warunki higieniczne były straszne. Korzystanie z ubikacji odbywało się w następujący sposób: przez pukanie do drzwi przychodził strażnik, który wyprowadzał nas do ubikacji. Zakatwianie potrzeb fizjologicznych odbywało się na komendę, szybko i bez żadnego ociągania się. Nie mieliśmy pasków od spodni i sznurowadeł. Od tego momentu traktowani byliśmy według bardzo ostrego rygoru więziennego.

Pobył w piwnicy był makabrą. Nie wiedzieliśmy, czy to jest dzień czy noc. Jedynie po badaniach, przesłuchaniach, wnioskowaliśmy o porze doby. Również dzięki posiłkom orientowaliśmy się

w porze doby.

System przeprowadzania śledztw był okropny. Coś mi to przypominało - chyba okres okupacji. Aresztowanych więźniów zabierano na badania wyłącznie nocą. Po zakończeniu przesłuchania sprowadzano do celi zmasakrowanych i pobitych więźniów. To był najgorszy okres doby, w dzień praktycznie było spokojniej. Noc była zawsze niespokojna. Światło nie było gaszone. Słyszano się każde skrzypnięcie drzwi. W napięciu wyczekiwało się: "Może i po mnie przyjdą?". Pomimo, że siedzieliśmy w piwnicy, z piętra dochodziły do nas niesamowite krzyki przesłuchiowanych więźniów. Widziałem tam również sam sposób przeprowadzania śledztw. Podczas gdy mnie prowadzono na śledztwo, widziałem młodą dziewczynę, łączniczkę. Związano jej ręce, za kolana przewleczono jakiś drażek. Obracano ją dookoła i bito w niesamowity sposób.

Na Krótkiej wszyscy byli więźniami politycznymi. Przebywał tam m.in. kapelan 27 Dywizji Wołyńskiej AK. To, co szczególnie utkwiło mi w pamięci i co zapamiętam chyba do końca życia, to młody chłopak, leżący po lewej stronie przy samym wejściu do celi. Na Krótkiej znalazł się jeszcze przede mną. Przywieziony był z Warszawy, z Pragi. Miał około osiemnastu - dziewiętnastu lat. W trakcie jakiegoś legitymowania przez Sowieców doszło do strzelaniny, w wyniku której został postrzelony w brzuch. Znajdował się w stanie niemalże agonialnym. Chłopak majaczył, nie przyjmował żadnych posiłków. Był pozbawiony jakiegokolwiek pomocy, w tym i lekarskiej. Nie miał nawet żadnej pryczy, leżał na gołym betonie. Współwięźniowie dbali o niego. Ze swoich ubrań zrobiliśmy mu posłanie. Opiekowaliśmy się nim. Proszę sobie wyobrazić małą piwnicę z dużą ilością więźniów i zapach, fetor psującego się ciała. To było coś okropnego. Finał

był tragiczny. Przed opuszczeniem przeze mnie piwnicy przy Krótkiej wpadł oficer Śledczy z żołnierzem, pytając gdzie jest chłopak. Skoczył mu dosłownie na żołądek i wykończył go. W ten sposób zakończyło się życie tego chłopaka. Żołnierz wyciągnął jego zwłoki z naszej celi.

Na badania na piętro byłem wzywany trzykrotnie. Po skończonych przesłuchaniach, 15 maja 1945 roku, cały transport przewieziono odkrytym dużym samochodem sztudebakerem, do więzienia na Zamku Lubelskim.

Na Zamku, po przekroczeniu pierwszej i drugiej bramy, dostaliśmy się do wejścia głównego na Zamek. Tam kazano nam podnieść ręce do góry. Z podniesionymi rękoma, zwróceni twarzami do Ściany, przestaliśmy nie dłużej jak pół godziny. Poszczególne osoby wzywano następnie w celu spisania danych personalnych. Po spisaniu danych personalnych wprowadzono nas na dziedziniec Zamku po lewej stronie po schodkach, do takiej wąskiej celi. Tam odbywała się kwarantanna. Kwarantanna sprowadzała się do strzyżenia nożyczkami włosów do gołej skóry, wydaniu nam brudnych menażek do spożywania posiłków oraz zabranii nam sznurowadek i pasków od spodni. Później rozdzielono nas do poszczególnych cel.

Trafiłem do celi numer 35. To była duża cela, jednak liczbowo przebywało tam dużo więcej więźniów - w granicach sześćdziesięciu osób. Cella była obudowana z obydwu stron takimi narami - - nętym spały starsze osoby. My młodzi spaliśmy bezpośrednio na betonie. Młodzi nie mieli oddzielnej celi, lecz byliśmy kwaterowani łącznie z więźniami w różnym wieku. Byłem zapewne nie najmłodszym, lecz jednym z młodszych więźniów.

Siedziałem m.in. z jugosłowiańskimi partyzantami, którzy

znaleźli się u nas w polskich oddziałach Armii Krajowej. Siedziało masę osób z Batalionów Chłopskich. Bardzo dużo więźniów było z Armii Krajowej, zwłaszcza z 27 Wołyńskiej Dywizji AK. Pewną część więźniów stanowili Ukraińcy z band UPA. Siedziały ^{za współpracę} bodajże dwie osoby z okupantem niemieckim.

Razem ze mną w celi przebywał pan Janicki. Nie pamiętam jego stanowiska, lecz sądzę, iż to byłoby możliwe do ustalenia. Pan Janicki był chyba burmistrzem lub jakimś innym wysokim urzędnikiem za czasów okupacji.

Przypominam sobie także pana w randze kapitana, oficera przedwojennego Wojska Polskiego. Nazywał się prawdopodobnie Otrębski. Być może jego nazwisko po tylu latach mogę mylić, niemniej jednak człowiekiem tym zainteresowałem się wyjątkowo. Był on już na wykończeniu, znajdował się w bardzo ciężkim stanie zdrowotnym. Będąc jeszcze na Zamku, postanowiłem temu panu po wyjściu na wolność w jakiś sposób pomóc. Po wyjściu z więzienia łącznie z matką i znajomymi - pomimo że nam samym było bardzo ciężko; ojciec był na froncie i nie było z czego żyć - wysyłałmy paczki panu Otrębskiemu. Dowodem wdzięczności pana Otrębskiego był jego przyjazd z Warszawy do Lublina w 1947 lub 1948 roku i specjalne podziękowanie. Dla mnie jego podziękowanie było bardzo szenujące, ponieważ taką formę pomocy uważałem za swój obowiązek. Pan Otrębski jednak pełen wdzięczności, dziękował nam za okazaną pomoc.

Szczególnie utkwiała mi w pamięci osoba pana , którego nazwiska wówczas nie znałem. Znałem go tylko z pseudonimu Orlik. Teraz dowiedziałem się, że jego prawdziwe nazwisko to Biasiewicz. Jego więziennicze losy były znacznie dłuższe od moich - pan Biasiewicz przebywał na Zamku o wiele dłużej ode mnie. Zapamiętałem go jako człowieka opiekuńczego i ojcowskiego w stosunku do

innych współwięźniów, podtrzymującego nas na duchu. Swoją postawą i osobowością pan Biasiewicz dodawał nam otuchy do przetrwania tego koszmaru.

Pamiętam również, jak przywieziono młodego człowieka, w wieku dwudziestu ośmiu - trzydziestu lat. Jak później dowiedziałem się, był on synem leśniczego gdzieś spod Biłgoraja lub z Biłgoraja. Był bardzo czynny w okresie okupacji w oddziale AK. Został aresztowany bezpośrednio po zakończeniu wojny, czego dowodem jest, iż już w 1945 roku znalazł się w więzieniu na Zamku Lubelskim. Z Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa w Biłgoraju przywieziono go do Lublina na motocyklu. Nie zapomnę tego faktu do końca życia. Miał odbite nogi pomiędzy palcami i piętą. Rany sięgały głębokości jednego centymetra lub więcej. Poruszał się wyłącznie przy pomocy współwięźniów, wspierając się na nich. Niesamowicie był torturowany. To były potworne rzeczy. Nawet nie jestem w stanie oddać tego obrazu, który widziałem, w taki sposób, jak to przeżywałem. Nie wiem, jakie są dalsze koleje losu tego człowieka.

Więźniowie z wyrokami śmierci przebywali w celi śmierci. W celi śmierci były i takie przypadki, gdzie więźniowie siedzieli nawet po dwa miesiące. Proszę sobie wyobrazić, jak czuł się taki więzień, przebywając w celi śmierci. Każde skrzypnięcie drzwi, każde otwieranie drzwi było symptomem tego, że to może po niego iść zabrać go na stracenie.

Przypominam sobie pana, pracującego w Izbie Skarbowej w charakterze kasjera. Podczas napadu na Izbę Skarbową został straszony i wydał klucze. To było przyczyną skazania go przez sąd na karę śmierci. W celi śmierci przebywał przez okres dwóch tygodni. Przepuszczalnie karę śmierci zamieniono mu na

dożywocie, ponieważ wrócił do nas do celi. Aż trudno opowiedzieć, co ten człowiek przeżył! Będąc w średnim wieku, czterdziestu kilku lat, całkowicie osiwiął w wyniku swoich przeżyć. Podejrzewam, iż w tej chwili pewnie już nie żyje.

W napadzie na Izbę Skarbową brały udział osoby z oddziału "Rysia". Dowiedziałem się o tym jeszcze w trakcie pobytu w Urzędzie Bezpieczeństwa na Krótkiej. Zostali oni aresztowani. Byli pod szczególnym nadzorem. O napadzie na Izbę Skarbową szczególnie wiele opowiadano na Krótkiej. Mówiono, iż sprawcy napadu, z zagarniętą pewną sumą pieniędzy, wydostali się w okolice ulicy Szopena. Stał tam samochód zik z sowieckim żołnierzem w środku. Dzięki sterroryzowaniu żołnierza, udało się im wydostać poza granice miasta, dokąd wywiózł ich żołnierz. Podobno żołnierza tego również ujęto i on także odbywał karę więzienia. Osoby biorące bezpośredni zamierzony udział w napadzie, zostały skazane na karę śmierci. Wszystkie wyroki śmierci zostały wykonane na sprawcach napadu. Jedynie kasjerowi, nie będącemu z nimi w zмовie, karę śmierci zamieniono na dożywotnie więzienie.

W sprawie napadu na Izbę Skarbową sądzony był również Czekerda. To był młody chłopak. W trakcie przesłuchań dowiedziano się od przestępców, iż Czekerda użył im schronienia na okres jednej nocy. Został skazany na karę pięciu lat więzienia - za to, że nie doniósł władzom o tym fakcie. Sprawa Czekerdy stanowi również przykład zbiorowej odpowiedzialności.

O tym, iż przebywam w więzieniu na Zamku, moja mama dowiedziała się dopiero w momencie przyjęcia pierwszej paczki. Kontakty między mną a matką odbywały się dzięki przesyłkom bielizny. Była możliwość wysyłania do domu bielizny osobistej do prania. Na bieliźnie pisaliśmy ołówkiem krótkie wiadomości w paru zdaniach

Były to głównie informacje odnośnie tego, o co proszę, co jest mi potrzebne. Kiedyś nawet pozwoliłem sobie napisać: "Antoni prosí o większą ilość żywności". Dzięki temu, dopiero po tej wiadomości moja siostra dowiedziała się, iż jej kolega został aresztowany i przebywa również w więzieniu. Nazwisko tego kolegi to Antoni Olszański; obecnie jest lekarzem weterynarii w Rabce. Moja mama do dzisiejszego dnia wspomina, że pierwszą więzienną bielizną przysłaną przeze mnie do domu, trzymała jako relikw. Bielizna oprócz tych paru zdań, które do mamy napisałem, cała była we krwi.

Krew była pozostałością przesłuchań. Na śledztwie nie szczędzono nikogo. Jeden z kolegów, Tadeusz Marzec, aresztowany w naszej sprawie, tak został pobity w czasie śledztwa, iż jako młody osiemnastoletni chłopak zakończył swoje życie na Łamku. Przyczyną śmierci było odbicie nerka.

Naczelnikiem więzienia na Łamku Lubelskim w 1945 roku był pan Nesterowicz. Był w wieku około pięćdziesiątki, trochę zaciągał po rosyjsku. Jego zastępcą był młody człowiek, w wieku do trzydziestu kilku lat.

Podczas naszego pobytu w więziennej celi był wybierany spośród nas komendant celi. Na rannym apelu zdawał on zawsze relację komendantowi więzienia o stanie więźniów w celi i liczbie chorych więźniów, przebywających w izbie chorych.

W dzień nie wolno nam było korzystać z pryczy, to znaczy można było na niej usiąść, jednak zabronione było leżenie. Cały dzień spędzaliśmy przeważnie na nogach, od czasu do czasu przysiadając na pryczy. Pilnujący strażnicy mieli włożone klucze do drzwi cel więziennych. Do wnętrza celi ciągle zaglądali przez taki "judasz". Otwierano drzwi i wyłapywano leżących. Później strażnicy

pastwili się, kazali skakać "żabkę" na korytarzu.

W celach były przeprowadzane rewizje. W trakcie swego pobytu w celi numer 35, po powrocie z kilkunastominutowego spaceru, który odbywaliśmy na dziedzińcu Zamku, nie dowierzałem własnym oczom, zastając całą gruntownie spenetrowaną. W tym czasie odbył się w celi tzw. Hippiusz, czyli rewizja. Podczas rewizji odnaleziono przyrząd do krajania chleba, zrobiony przez jednego ze współwięźniów, wyklepany z puszki po konserwach. To było przyczyną, że zrobiono nam wspólną "żabkę" dla wszystkich więźniów celi. Pastwili się nad nami i powiedzieli, że będą nas przetrzymywać na korytarzu aż do chwili zgłoszenia się osoby, która wykonała nóż. Skakanie żabki było uciążliwe i męczące, było przejawem znęcania się nad ludzką osobowością. Ponieważ wśród współwięźniów znajdowały się osoby starsze, dla których skakanie było szczególnie wyczerpujące, wystąpiłem. Zgłosiłem, że to mój nóż, pomimo że nóż nie był moją własnością i nie ja go wykonałem. Rzuciło się na mnie dwóch strażników. Zaprowadzono mnie do karceru. Karcer był pomieszczeniem wielkości szafy ubraniowej, prawie kwadratowym, o wymiarach dziewięćdziesiąt centymetrów na metr dziesięć - metr dwadzieścia, wysokim, bez okna. Vis-à-vis drzwi była umieszczona wąska ławeczka. Praktycznie nie można tam było ani usiąść, ani położyć się. W karcerze przebywałem dwie doby. Po odbyciu tej kary dostałem jeszcze kilka szturchańców. Powiedziano mi wówczas: "No, odechce ci się na przyszłość być krnąbrnym i nie przestrzegać więziennego regulaminu!".

A właściwie - jakiż był ten więzienny regulamin? Żadnego regulaminu nie było! Traktowano nas jak złoczyńców, jak łobuzów, czego dowodem jest, iż przebywaliśmy niekiedy w celach łącznie

z esesmanami, gdyż i tacy byli w 1945 roku, oraz z Ukraińcami z band UPA.

W trakcie pobytu w celach bardzo uciążliwe było korzystanie z toalety. Wyprowadzano nas rano zbiorowo do ubikacji, gdzie było parę fizuarów do załatwiania się i dwie umywalki. Wszystko odbywało się na komendę "Szybko! Szybko!". Było za mało czasu, ze względów czasowych nie było możliwości umycia menażki, brakowało nawet czasu na umycie się i załatwienie się. Praktycznie zmuszeni byliśmy do korzystania z kibli w celach. Różne były dolegliwości, wielu więźniów było schorowanych i znerwicowanych, tak więc i ich toaletki były w różnym stanie. Bardzo często więzień musiał załatwiać się w celi wśród współwięźniów, korzystając z kibla. Jego zadaniem było następnego dnia rano, z chwilą otwarcia celi, zająć się tym kibelem - wyczyścić, wymyć go i z powrotem przynieść do celi. Takie panowały zasady, ustalone w celi. Jeżeli bywali następni korzystający z kibla, automatycznie wybawiali pierwszego z nieprzyjemnego obowiązku czyszczenia.

Były również kary dla więźniów w postaci pozbawiania nas spacerów. Np. po wspomnianej już rewizji w celi, podczas której znaleziono nóż, wszystkich więźniów pozbawiono spacerów na okres jednego tygodnia.

Włosa mieliśmy obcięte do gołej skóry. Pozbawieni byliśmy pasków od spodni i sznurowadeł od butów. Plagą były najróżniejsze insekty, szerzyły się pluskwy, myszy, nie mówiąc już o wszach. Tak wyglądało nasze więzienne życie w momencie odzyskania przez Polskę powojennej niepodległości.

Chciałbym wspomnieć o jeszcze jednej sprawie, którą zapamiętałem z pobytu na Zamku. Chodzi mianowicie o formowanie transportów.

Z cel wybierano osoby, nawet i te bez wyroków, które następnie były dołączane do transportów. Wśród więźniów mówiono, że wywożono ich do innych więzień lub do Związku Radzieckiego. Takich transportów było bardzo dużo.

Dla ciekawości jeszcze powiem - co mi jest wiadomo i co nie jest żadnym kłamstwem z mojej strony - że wyroki śmierci po sprawach odbywały się pod Kaplicą Zamkową. W obudowie więziennej dało słyszeć się strzały. Dochodziły one do nas spod Kaplicy. Wyroki śmierci były wykonywane przeważnie nocą.

Chcę także nadmienić o religijności, jaka panowała w celach. Codziennie rano śpiewaliśmy "Kiedy rano wstają morze". Trwało to jednak tylko do pewnego momentu. Z czasem - jeszcze przed opuszczeniem przez mnie więzienia - śpiewanie pieśni religijnych zostało zabronione.

Moim oficerem śledczym od momentu aresztowania do momentu rozprawy był pan Bernat. Bernat był blondynem w wieku trzydziestu kilku do czterdziestu lat - tak to określiam z okresu dość odległego. Dowiedziałem się później, iż pracuje on jako nauczyciel w jednej ze szkół. To był zdecydowanie nieciekawym człowiekiem. Jako młodego chłopaka, gówniarza, traktował mnie jak dorosłego. Owo traktowanie jak osobą dorosłą sprowadzało się do bicia, nie zwracając uwagi na to, że mogą wyrządzić mi krzywdę.

Badania odbywały się przy użyciu różnego rodzaju pejczy, pałek. Bito tym, co było pod ręką. Dzisiaj człowiek wspomina to jako koszmar. Zupełnie nie mogą uzmysłwić sobie, jak można w ten sposób traktować ludzi, tak jak traktowano nas na Zamku.

W trakcie mojego pobytu w więzieniu do celi wprowadzano osoby, które współpracowały z Urzędem Bezpieczeństwa. Osoby te udawały bardzo sztykanowanych i pobitych w trakcie śledztwa, starając się tym sposobem jak najwięcej wyciągnąć z nas podczas rozmowy.

Następnie pewnego dnia ni stąd, ni zowąd, przenoszono ich do innej celi. Natomiast więźniowie, którzy kontaktowali się z takimi osobami, były zabierane na ponowne śledztwo.

Śledztwa, które odbywały się na Krótkiej, nie były zakończone. Do więzienia na Zamku w dalszym ciągu przychodzili oficerowie z Urzędu Bezpieczeństwa, w celu kontynuowania śledztwa. Na przesłuchania w więzieniu na Zamku byłem wzywany trzykrotnie przed rozprawą. Następnie oznajmiono mi, iż 26 czerwca odbędzie się sprawa przed Wokskowym Sądem Rejonowym.

Sprawy odbywały się z reguły w gmachu apteki administracyjnej na parterze. Obecnie tego budynku już nie ma. Była to faktycznie sala rozpraw - taka, jak w sądach. W skład sędziowski wchodziło tylu wojskowych, ilu było aresztowanych młodych chłopców. Niektórzy byli starsi ode mnie, w wieku osiemnastu - dziewiętnastu lat. Ja byłem jednym z młodszych oskarżonych w naszej sprawie. Jeden sędzia był po cywilnemu, resztę składu sędziowskiego stanowili wojskowi - był pułkownik w mundurze wojskowym i umundurowani kawnicy. Od adwokata dowiedzieliśmy się, iż po raz pierwszy dopuszczono do naszej sprawy obrońców cywilnych. Byli to obrońcy z urzędu, niezwykle przyjemni ludzie. Ze swoim bezpośrednim obrońcą, mieszkającym na rogu Lipowej i Skłodowskiej, spotykam się do dzisiaj. Adwokat, rozmawiając ze mną przed rozprawą, zapytał o moje samopoczucie. Odpowiedziałem, iż czuję się dobrze. Obrońca jednak stwierdził: "Ależ nie! Ty czujesz się źle. Pamiętaj, że moim celem jest, aby cię stąd wyciągnąć.". Jednak bezpośrednio po zakończeniu sprawy, wyroki nie zostały nam odczytane.

Po sprawie trafiliśmy do baszty więzienia na Zamku. Następnego dnia, o godzinie piątej rano, na baszcie odczytano nam na

stojąc nasze wyroki. Wyroki były różne. Otrzymałem karę czterech lat więzienia, lecz były również wysokie wyroki, w granicach dwunastu - piętnastu lat więzienia. W mojej sprawie wyroków śmierci nie było. Pragnę podkreślić, iż intencją mojej relacji jest maksymalnie obiektywne oddanie prawdy o wydarzeniach, których byłem naocznym świadkiem i uczestnikiem. Dlatego nie mogę mówić o rzeczach, które nie miały miejsca. Zaznaczam więc, że wyroków skazujących na karę śmierci w naszej sprawie nie było. Praktycznie nie miałem nadziei, iż wyjdę wcześniej jak po czterech latach.

Po odczytaniu wyroków powróciliśmy do swoich wyjściowych cel, z których wyprowadzono nas na rozprawę. Po kilku dniach pobytu zabrano nas ponownie na basztę, nakazując nam zabrać ze sobą wszystkie swoje rzeczy. Na baszcie przesiedzieliśmy dwa dni.

Z baszty zaprowadzono nas do pokoju, w którym zabierano do depozytu różne rzeczy osobiste. Teraz wydano nam te rzeczy. Następnie wydano nam zaświadczenie z pobytu w więzieniu. Pamiętam treść tego zaświadczenia: "Tadeusz Ossowski, skazany wyrokiem Wojskowego Sądu Rejonowego w Lublinie z dnia 26 czerwca 1945 roku za przynależność do Armii Krajowej, zostaje zwolniony". Podpisywaliśmy jeszcze takie oświadczenia, iż to, co widziałem, zostanie zachowane w tajemnicy i nikomu nie będę tego ujawniał.

Więzienie opuściłem 2 lipca 1945 roku.

Po wyjściu z więzienia przez okres jednego roku meldowałem się w Komendzie Milicji Obywatelskiej na ulicy Ewangelickiej. Meldowałem się tam ze swoimi więziennymi dokumentami. W ostatnim dniu meldowania pani, która przeglądała te dokumenty,

zabrała je mówiąc: "To już nie jest ci potrzebne. Możesz już więcej nie przychodzić". Taki był finał mojej sprawy, po której nie pozostały mi nawet dokumenty z więziennej przeszłości.

To wszystko jest opowiadane z perspektywy odległych lat, w ciągu których wiele rzeczy mogłem już zapomnieć. Niemniej jednak gehennę, którą przeżyłem, będę pamiętał do końca życia. To był dosłownie koszmar. Pobyt w więzieniu w znacznym stopniu zaważył na mojej osobowości. Utraciłem swój młodzieńczy zapał i chęci. Wewnętrzne przeżycia załamały mnie.

ROZMOWA PRZEPROWADZONA W LUBLINIE W DNIU 14 SIERPNI 1939 ROKU
Z PANEM RADEUSZEM OSSOWSKIM

© ARCHIWUM WSKROBIE

Urodziłem się 17.12.1929 roku w Lublinie. Ojciec mój, Ludwik Ossowski, przed wojną był zawodowym wojskowym do 1939 roku, czego dowodem jest, że za działania wojenne 1939 roku został po wojnie odznaczony "krzyżem Virtuti Militari. Za czasów okupacji niemieckiej zamieszkiwałem w Lublinie wspólnie z rodzicami.

W 1942 roku zostaliśmy przesiedleni przez Niemców z Alei Maczawickich na Stare Miasto. Było to jeszcze przed opróżnieniem Starego Miasta z Żydów. Pamiętam getto na Starym Mieście. Przebywając w okolicach getta jako dzieciak, zapamiętałem bardzo dużo faktów. Pamiętam nawet, jak getto przebiegało i jak było wygrodzona w czasie okupacji. Mieszkałem na "ryнку 8 na pierwszym piętrze tego budynku, gdzie w podziemiach mieściła się winiarnia. Ogrodzenie getta rozciągało się od połowy ulicy Grodzkiej, zamykało plac kościoła, następnie Podzameczem od Podwala, w okolicach Zamku, a dalej ulicą Noworybną, Kowalską, aż do ulicy Łuskiej. Codziennie przez Stare Miasto szły na Zamek patrole. W Bramie Grodzkiej patrol przechodził po schodkach, następnie wychodził na Podwale i wchodził do więzienia. W okolicach Bramy Grodzkiej odbył się zamach na jeden z patroli niemieckich, bezpośrednio po przejściu żołnierzy. Zetknąłem się z tym, że podobno zginęło tam dwóch żołnierzy niemieckich, jednak nie potwierdzam tego faktu. Znajdowałem się w tym miejscu bezpośrednio po wybuchu. "cieciałem tam popatrzeć, wiedziony dziecięcą ciekawością. Jednak zabitych żołnierzy niemieckich nie widziałem. Działo się to w godzinach południowych. W tym czasie całe Stare Miasto zostało osaczone przez Niemców. " domów wybierano

starszych matczyzna, m.in. zabrano mego ojca. Z rękoma podniesionymi do góry wyprowadzono go na Grodzką. Tam postawiono go pod ścianą. Po wylegitymowaniu przetrzymywano go jeszcze około dwóch godzin. Po tym czasie część osób zabrano, a resztę puszczono, m.in. mojego ojca.

Pomimo młodego wieku, pod koniec okupacji niemieckiej należałem do Szarych Szeregów. Pracowałem w konspiracji. Bezpośrednio czynnego udziału w partyzantce nie brałem. Niemniej jednak miałem wyznaczone zadania, polegające na przynoszeniu gazetek, ulotek do specjalnych punktów. Do pracy konspiracyjnej zostałem namówiony przez Jurka Kijowskiego. Był on starszym bratem mego kolegi. Za okupacji niemieckiej brał czynny udział w szeregach Armii Krajowej. Bezpośrednio po wyzwoleniu był ścigany. Jedyni jego wyjazd wraz z rodzicami z Lublina zaraz po wyzwoleniu uchronił go przed aresztowaniem. Jurek, znając mój dom i środowisko, w którym wychowywałem się, wciągnął mnie do konspiracji. Za okupacji mieszkałem na Starym Mieście na ulicy Rynek 8, zaś rodzina państwa Kijowskich mieszkała na ulicy Archidiakonskiej. Stąd nasz kontakt. Z bratem Jurka, moim rówieśnikiem, kontaktowałem się na co dzień. Do konspiracji nie zostałem przyjęty z otwartymi rękoma. Długo mnie obserwowano i badano moje środowisko, zanim mogłem być przyjęty do AK.

Również swojej siostrze zawdzięczam wciągnięcie mnie do pracy konspiracyjnej AK. Siostra brała czynny udział w Armii Krajowej. Wziasiaj jest nawet członkinią ZBoWiD. Osobiście o przynależność do ZBoWiD-u nigdy nie występowałem i nadal nie ubiegam się o to, ponieważ po prostu nie chcę tego.

Zadania nasze były różnorakie. Najczęściej dawano mi do przemieszczenia jakieś przesyłki pod wskazany adres lub zlecano przemieszczenie ich stamtąd. Nigdy nie pytałem, co przenoszę. Rozlepialiśmy

ulotki. Jaka sama działalność, choć już może w mniejszym zakresie, była również po wojnie.

W dniu 22 lipca 1944 roku po wejściu Rosjan, wspólnie z siostrą i grupką kolegów, udaliśmy się do więzienia na Zamek Lubelski w celu odszukania więzionego tam wujka. Do więzienia wchodziłem dosłownie w tym momencie, kiedy z więzienia wychodziły nieliczne grupy więźniów Zamku Lubelskiego. Tam właśnie dostrzegłem postać lotnika radzieckiego, którego widok budził we mnie strach. Był cały obandażowany, ręce miał na wyciągach. Podczas jakiegoś lotu samolotu radzieckiego został przez Niemców zestrzelony i przywieziony do Zamku.

Kiedy wchodziliśmy do więzienia, ktoś krzyknął, że więzienie jest podminowane. Cofnęliśmy się na moment. Jednak jakaś wewnętrzna siła pchała nas dalej, aby tam pójść i zobaczyć. Po schodkach szliśmy do celi numer 35. Była to cela krawiecka, do której droga była wysłana trupami. Przed celą stał taboret, cały podziurawiony od kul. Podejrzewam, iż po rozstrzelaniu natym taborecie więźniów, następni więźniowie układali zwłoki w stosy. Stosy trupów były poukładane jeden na drugim z niemiecką dokładnością. Wszędzie, a szczególnie w celi krawieckiej, pełno było krwi, aż po kostki. Gdy dotarliśmy do tej celi, spośród trupów ukazał się nam żywy człowiek. Niemcy dokonywali egzekucji więźniów w pośpiechu. Ten człowiek był ranny dwoma postrzałami, jeden z nich trafił go w nogę. Wyprowadziłem go przed więzienie, przed którym stał chłop z furmanką. Ułożyliśmy go na furze i przykryliśmy skórą. Chłop zawiózł go gdzieś na Dziesiątą. Później dowiedziałem się, że rannym więźniem był pan Kwater.

Przebiegając przez cele, widziałem jak wszędzie, a zwłaszcza w gabinetach esesmanów, było porozrzucone masę zdjęć i różne

akta. Chciałbym również wspomnieć o fakcie, o którym dzisiaj wiem znacznie więcej niż wówczas. Wśród osób pomordowanych, w trumnie, znaleźliśmy zwłoki takiego opasłego Szwaba o pseudonimie "Krowa". Zabił go Sławek Jurgo. Wśród postrzelonych osób spotkałem żydowskiego dentystę. Później, w pierwszych dniach po wyzwoleniu, spotykałem go na ulicy, owiniętego w bandażę.

I lipca został aresztowany rodzony brat mojej matki, Tadeusz Budzyski. Proszę sobie wyobrazić, że został rozstrzelany 22 lipca. W momencie, gdy zabieraliśmy zwłoki wujka z Zamku, były one jeszcze zupełnie ciepłe. Zwłoki przeniesliśmy na Stare Miasto. Przez okres frontu wujek leżał w trumnie. Nie wiedzieliśmy, jak długo ten front potrwa. Dlatego jeszcze w trakcie trwania działań wojennych, ojciec mój wraz z gospodarzem domu i dwiema innymi osobami wynieśli tę trumnę do kościoła. Idąc w kierunku Bramy Trynitarzkiej, natknęli się na Niemców, stojących w Bramie z karabinem maszynowym. Znajdując się w pewnej odległości od Niemców, ojciec zapytał, czy mogą przenieść trumnę z ciałem nieboszczyka. Niemiec odpowiedział: "Schnell!". I tak praktycznie odbyło się to. W pośpiechu zanieśli trumnę do katedry i wrócili do domu. W momencie, gdy gospodarz domu zamykał bramę naszego domu, a jest to na wprost Bramy Trynitarzkiej, Niemcy zauważyli, iż są obserwowani. Puscili serię z karabinu maszynowego. Gospodarz, po odniesieniu zwłok wujka do kościoła, za moment sam zginął, padając przy bramie naszego domu.

Zaraz po wyzwoleniu byłem uczniem Państwowej Szkoły Budownictwa. Po wyzwoleniu wśród nas, młodych, tkwiło przekonanie, iż to nie jest to, czego pragnęliśmy. Byliśmy niezadowoleni z zainstalowanej sytuacji. Pociągała nas konspiracja. Efektem tego był

fakt, iż zostałem jednym z pierwszych więźniów. Od lipca 1944 roku do kwietnia 1945 roku minęło zaledwie pół roku. W tym czasie ujawniałem się przed Komisją Likwidacyjną AK, a mimo to byliśmy aresztowani i sądzeni. Podziemie samo w sobie stworzyło warunki do aresztowań, było przyczyną, iż w taki właśnie sposób rozwinęła się sytuacja. Nikt nie był pewien ani dnia, ani godziny. Stale penetrowano po szkołach. My sami nigdy nie prowadziliśmy czynnej działalności w sensie strzelania do kogoś.

W momencie aresztowania miałem niepełne piętnaście lat.

W tym samym czasie mój tata, szacny człowiek, przebywał na froncie w stopniu chorążego w II Armii w saperach. Zostałem aresztowany przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa 26 kwietnia 1945 roku o godzinie dwudziestej trzeciej, w domu przy ulicy Skłodowskiej 13 mieszkania 9. Nie wiem, nie potrafię znaleźć odpowiedzi, dlaczego przyjechało po mnie aż tylu funkcjonariuszy - w dwóch willysach. Wpadli do mieszkania z okrzykiem "Ręce do góry!", pozbawiając mnie możliwości jakiegokolwiek poruszenia się po mieszkaniu.

Na liście osób przewidzianych do aresztowania znajdowało się nazwisko Waldka Serafina, który mieszkał w tym samym domu, lecz piętro niżej. W momencie komotania do drzwi, chłopak wyskoczył z balkonu z pierwszego piętra i tym sposobem uratował się. Walddek uciekł gdzieś w Polskę i nie dał się złapać. Po otwarciu drzwi jego mieszkania, nie zastając go, w jego miejsce aresztowano ojczyma Waldka Serafina, pana Książkiewicza. Pan Książkiewicz przebywał razem ze żoną na Krótkiej i w więzieniu na Zamku, odbywając karę za pasierba. Była to forma zbiorowej odpowiedzialności.

Znane są mi również inne fakty zbiorowej odpowiedzialności,

twu. kotków, jakie miały miejsce w Lublinie. "Kotły" były zakładane u osób podejrzanych przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa. Wtedy nawet przygodny człowiek, który pomyłkowo zadzwonił do drzwi, był zapraszany do wnętrza po to, aby go aresztować w celu przesłuchiwania, czy miał coś wspólnego z osobą, do której przyjechał.

Funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa zabrali mnie do willysa. Zostałem przewieziony na ulicę Krótką do Urzędu Bezpieczeństwa. Tam zostałem skierowany do pokoju na pierwszym piętrze, gdzie oprócz mnie znalazło się jeszcze - dokładnie nie pamiętam - siedmiu lub ośmiu kolegów. Tadek Marzec, Mietek Czechowicz, Jurek Felczarski - to nazwiska młodych chłopców, moich kolegów z naszej wspólnej sprawy. Reszty nazwisk w tej chwili nie przypominam sobie. Przebywaliśmy w tym pokoju około dwóch godzin.

Wkrótce po północy wpadło do pokoju tylu śledczych, ilu było aresztowanych. Przywitanie nie należało do przyjemności. Najbardziej utkwilo mi w pamięci kopanie i bicie nas przez śledczych. Następnie zabierano nas do pokoi, gdzie odbywało się przesłuchanie. Vis-à-vis mnie, za biurkiem siedział oficer z Urzędu Bezpieczeństwa. Obok niego stała flaszką wódki z czerwoną nalepką. Ukradkiem dostrzegłem wysuniętą szufladę z leżącym w niej pistoletem. Ręce miałem do tyłu, gdyż taki był wymóg ze strony prowadzącego śledztwo, aby w ten sposób siedzieć. Drzwi były nie zamknięte. Siedziałem zwrócony tyłem do wejścia. Przez te otwarte drzwi co jakiś czas z korytarza skradał się - niczym jakiś pajac czy kot - oficer śledczy, który machajką zacinał po plecach, gdzie popadło. Trwało to gdzieś do godziny trzeciej, może czwartej rano.

Następnego dnia zostaliśmy ponownie wszyscy zgrupowani w tym

samym pokoju, do którego przywieziono nas na początku. Między nami nie było żadnego kontaktu, nie wolno nam było w ogóle porozumiewać się. W pokoju siedział funkcjonariusz Urzędu Bezpieczeństwa z pepeszą i bardzo skrupulatnie przestrzegał, aby nie było między nami jakichkolwiek kontaktów. W tym wspólnym pomieszczeniu przesiadaliśmy około dwóch dni. Następnie przemieszczono nas do podziemi przy ulicy Krótkiej, do takiej celi obok składu amunicji. Była to mała, niska piwnica bez okien. Przy wejściu znajdowała się rusznikarnia.

Moja mama już następnego dnia po aresztowaniu usiłowała mnie odszukać. Jej poszukiwania nie dały jednak żadnego rezultatu, ponieważ wszędzie odpowiadano jej, że mnie tam nie ma.

W piwnicy siedzieliśmy około trzydziestu - trzydziestu dwu mężczyzn. Przebywaliśmy w tym, w czym nas wzięto. Pozbawieni byliśmy jakichkolwiek paczek z zewnątrz. Posiłki były bardzo skromne i skąpe. To była dosłownie vegetacja. Do jedzenia dostawaliśmy polawkę, troszkę chleba i czarną nie słodzoną kawę. Pozbawieni byliśmy jakiegokolwiek kontaktu i możliwości wychodzenia na zewnątrz. Nie było żadnych spacerów. Zostaliśmy kompletnie odizolowani. Warunki higieniczne były straszne. Korzystanie z ubikacji odbywało się w następujący sposób: przez pakowanie do drzwi przychodził strażnik, który wyprowadzał nas do ubikacji. Zaspokajanie potrzeb fizjologicznych odbywało się na komendę, szybko i bez żadnego ociągania się. Nie mieliśmy pasków od spodni i sznurowadeł. Od tego momentu traktowani byliśmy według bardzo ostrego rygoru więziennego.

Żebyt w piwnicy był makabrą. Nie wiedzieliśmy, czy to jest dzień czy noc. Jedynie po badaniach, przesłuchaniach, wnioskowaliśmy o porze doby. Również dzięki posiłkom orientowaliśmy się

w porze doby.

System przeprowadzania śledztw był okropny. Coś mi to przypominało - chyba okres okupacji. Aresztowanych więźniów zabierano na badania wyłącznie nocą. Po zakończeniu przesłuchania sprowadzano do celi zmasakrowanych i pobitych więźniów. To był najgorszy okres doby, w dzień praktycznie było spokojniej. Noc była zawsze niespokojna. Światło nie było gaszone. Słyszało się każde skrzypnięcie drzwi. W napięciu wyczekiwało się: "Może i po mnie przyjdą?". Pomimo, że siedzieliśmy w piwnicy, z piętrowych dochodziły do nas niesamowite krzyki przesłuchiowanych więźniów. Widziałem tam również sam sposób przeprowadzania śledztw. Podczas gdy mnie prowadzono na śledztwo, widziałem młodą dziewczynę, Łączniczkę. Związano jej ręce, za kolana przewleczono jakiś drążek. Obracano ją dookoła i bito w niesamowity sposób.

Na Krótkiej wszyscy byli więźniami politycznymi. Przebywał tam m.in. kapelan 27 Dywizji Wołyńskiej AK. To, co szczególnie utkwiło mi w pamięci i co zapamiętam chyba do końca życia, to młody chłopak, leżący po lewej stronie przy samym wejściu do celi. Na Krótkiej znalazł się jeszcze przede mną. Przywieziony był z Warszawy, z Fragi. Miał około osiemnastu - dziewiętnastu lat. W trakcie jakiegoś legitymowania przez Sowietów doszło do strzelaniny, w wyniku której został postrzelony w brzuch. Znajdował się w stanie niemalże agonialnym. Chłopak najaczyź, nie przyjmował żadnych posiłków. Był pozbawiony jakiegokolwiek pomocy, w tym i lekarskiej. Nie miał nawet żadnej pryczy, leżał na gołym betonie. Współwięźniowie dbali o niego. Ze swoich ubrań zrobiliśmy mu posłanie. Opiekowaliśmy się nim. Proszę sobie wyobrazić małą piwnicę z dużą ilością więźniów i zapach, fetor psującego się ciała. To było coś okropnego. Finał

był tragiczny. Przed opuszczeniem przeze mnie piwnicy przy Krótkiej wpadł oficer śledczy z żołnierzem, pytając gdzie jest chłopak. Skoczył na dosłownie na żołdaka i wykończył go. W ten sposób zakończyło się życie tego chłopaka. Żołnierz wyciągnął jego zwłoki z naszej celi.

Na badania na piętro byłem wzywany trzykrotnie. Po skończonych przesłuchaniach, 15 maja 1945 roku, cały transport przewieziono odkrytym dużym samochodem sztudabkerem, do więzienia na Zamku Lubelskim.

Na Zamku, po przekroczeniu pierwszej i drugiej bramy, dostaliśmy się do wejścia głównego na Zamek. Tam kazano nam podnieść ręce do góry. Z podniesionymi rękoma, zwróceniem twarzami do ściany, przestaliśmy nie dłużej jak pół godziny. Poszczególne osoby wzywano następnie w celu spisania danych personalnych. Po spisaniu danych personalnych wprowadzono nas na dziedziniec Zamku po lewej stronie po schodkach, do takiej wąskiej celi. Tam odbywała się kwarantanna. Kwarantanna sprowadzała się do strzyżenia nożyczkami włosów do gołej skóry, wydaniu nam brudnych menażek do spożywania posiłków oraz zabranii nam sznurowadeł i pasek od spodni. Później rozdzielono nas do poszczególnych cel.

Trafiliśmy do celi numer 35. To była duża cela, jednak liczebnie przebywało tam dużo więcej więźniów - w granicach sześćdziesięciu osób. Cella była obudowana z obydwu stron takimi narzami - natym spały starsze osoby. My młodzi spaliśmy bezpośrednio na betonie. Młodzi nie mieli oddzielnej celi, lecz byliśmy kwaterowani łącznie z więźniami w różnym wieku. Byłem zapewne nie najmłodszym, lecz jednym z młodszych więźniów.

Siedziałem m.in. z jugosłowiańskimi partyzantami, którzy

znaleźli się u nas w polskich oddziałach Armii Krajowej. Siedziało nasę osób z batalionów Chłopskich. Bardzo dużo więźniów było z Armii Krajowej, zwłaszcza z 27 Wołyńskiej Dywizji AK. Kewną część więźniów stanowili Ukraińcy z band UPA. Siedziały bodajże dwie osoby z okupantem niemieckim.

Razem ze mną w celi przebywał pan Janicki. Nie pamiętam jego stanowiska, lecz sądzę, iż to byłoby możliwe do ustalenia. Pan Janicki był chyba burmistrzem lub jakimś innym wysokim urzędnikiem za czasów okupacji.

Przypominam sobie także pana w randze kapitana, oficera przedwojennego Wojska Polskiego. Nazywał się prawdopodobnie Otrębski. Być może jego nazwisko po tylu latach mogę mylić, niemniej jednak człowiekiem tym zainteresowałem się wyjątkowo. Był on już na wykończeniu, znajdował się w bardzo ciężkim stanie zdrowotnym. Będąc jeszcze na Zamku, postanowiłem temu panu po wyjściu na wolność w jakiś sposób pomóc. Po wyjściu z więzienia łącznie z matką i znajomymi - pomimo że nam samym było bardzo ciężko, ojciec był na froncie i nie było z czego żyć - wysyłałem paczki panu Otrębskiemu. Dowodem wdzięczności pana Otrębskiego był jego przyjazd z Warszawy do Lublina w 1947 lub 1948 roku i specjalne podziękowanie. Dla mnie jego podziękowanie było bardzo cenne, ponieważ taką formę pomocy uważałem za swój obowiązek. Pan Otrębski jednak pełen wdzięczności, dziękował nam za okazaną pomoc.

Szczególnie utkwiała mi w pamięci osoba pana , którego nazwiska wówczas nie znałem. Znałem go tylko z pseudonimu Orlik. Teraz dowiedziałem się, że jego prawdziwe nazwisko to Biasiewicz. Jego więzienna losy były znacznie dłuższe od moich - pan Biasiewicz przebywał na Zamku o wiele dłużej ode mnie. Zapamiętałem go jako osłowieka opiekuńczego i ojcowskiego w stosunku do

innych współwięźniów, podtrzymującego nas na duchu. Swoją postawą i osobowością pan Biasiewicz dodawał nam otuchy do przetrwania tego koszmaru.

Wspominam również, jak przywieziono młodego człowieka, w wieku dwudziestu osmiu - trzydziestu lat. Jak później dowiedziałem się, był on synem leśniczego gdzieś spod Biłgoraja lub z Biłgoraja. Był bardzo czynny w okresie okupacji w oddziale AK. Został aresztowany bezpośrednio po zakończeniu wojny, czego dowodem jest, iż już w 1945 roku znalazł się w więzieniu na Zamku Lubelskim. Z Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa w Biłgoraju przywieziono go do Lublina na motocyklu. Nie zapomnę tego faktu do końca życia. Miał odbite nogi pomiędzy palcami i piętą. Rany sięgały głębokości jednego centymetra lub więcej. Poruszał się wyłącznie przy pomocy współwięźniów, wspierając się na nich. Nicśmowicie był torturowany. To były potworne rzeczy. Nawet nie jestem w stanie oddać tego obrazu, który widziałem, w taki sposób, jak to przeżywałem. Nie wiem, jakie są dalsze koleje losu tego człowieka.

Więźniowie z wyrokami śmierci przebywali w celi śmierci. W celi śmierci były i takie przypadki, gdzie więźniowie siedzieli nawet po dwa miesiące. Proszę sobie wyobrazić, jak czuł się taki więzień, przebywając w celi śmierci. Każde skrzyknięcie drzwi, każde otwieranie drzwi było symptomem tego, że to może po niego iść zabrać go na stracenie.

Przypominam sobie pana, pracującego w Izbie Skarbowej w charakterze kasjera. Podczas napadu na Izbę Skarbową został terroryzowany i wydał klucze. To było przyczyną skazania go przez sąd na karę śmierci. W celi śmierci przebywał przez okres dwóch tygodni. Przepuszczalnie karę śmierci zamieniono mu na

dożywocie, ponieważ wrócił do nas do celi. Aż trudno opowiedzieć, co ten człowiek przeżył! Będąc w średnim wieku, czterdziestu kilku lat, całkowicie osiwiiał w wyniku swoich przeżyć. Podejrzewam, iż w tej chwili pewnie już nie żyje.

W napadzie na Izbę Skarbową brały udział osoby z oddziału "Rysia". Dowiedziałem się o tym jeszcze w trakcie pobytu w Urzędzie Bezpieczeństwa na Krótkiej. Zostali oni aresztowani. Byli pod szczególnym nadzorem. O napadzie na Izbę Skarbową szczególnie wiele opowiadano na Krótkiej. Mówiono, iż sprawcy napadu, z zagarniętą pewną sumą pieniędzy, wydostali się w okolice ulicy Szopena. Stał tam samochód ził z sowieckim żołnierzem w środku. Dzięki sterroryzowaniu żołnierza, udało się im wydostać poza granice miasta, dokąd wywiózł ich żołnierz. Podobno żołnierza tego również ujęto i on także odbywał karę więzienia. Osoby biorące bezpośredni zamierzony udział w napadzie, zostały skazane na karę śmierci. Wszystkie wyroki śmierci zostały wykonane na sprawcach napadu. Jedynie kasjerowi, nie będącemu z nimi w zмовie, karę śmierci zamieniono na dożywotnie więzienie.

W sprawie napadu na Izbę Skarbową sądzony był również Czekerda. To był młody chłopak. W trakcie przesłuchań dowiedziano się od przestępców, iż Czekerda użyczył im schronienia na okres jednej nocy. Został skazany na karę pięciu lat więzienia - za to, że nie doniósł władzom o tym fakcie. Sprawa Czekerdy stanowi również przykład zbiorcowej odpowiedzialności.

O tym, iż przebywam w więzieniu na Zamku, moja mama dowiedziała się dopiero w momencie przyjęcia pierwszej paczki. Kontakty między mną a matką odbywały się dzięki przesyłkom bielizny. Była możliwość wysyłania do domu bielizny osobistej do prania. Na bislianie pisaliśmy ołówkiem krótkie wiadomości w paru zdaniach

były to głównie informacje odnośnie tego, o co proszę, co jest mi potrzebne. Kiedyś nawet pozwoliłem sobie napisać: "Antoni prosi o większą ilość żywności". Dzięki temu, dopiero po tej wiadomości moja siostra dowiedziała się, iż jej kolega został aresztowany i przebywa również w więzieniu. Nazwisko tego kolegi to Antoni Olszański; obecnie jest lekarzem weterynarii w Rabce. Moja mama do dzisiejszego dnia wspomina, że pierwszą więzienną bielizną przysланą przeze mnie do domu, trzymała jako relikw. Bielizna oprócz tych paru zdań, które do mamy napisałem, cała była we krwi.

Arew była pozostałością przesłuchań. Na śledztwie nie szczędzono nikogo. Jeden z kolegów, Tadeusz Marzec, aresztowany w naszej sprawie, tak został pobity w czasie śledztwa, iż jako młody osiemnastoletni chłopak zakończył swoje życie na Zamku. Przyczyną śmierci było odbicie nerek.

Naczelnikiem więzienia na Zamku Lubelskim w 1945 roku był pan Nesterowicz. Był w wieku około pięćdziesiątki, trochę zaciągał po robyjsku. Jego zastępcą był młody człowiek, w wieku do trzydziestu kilku lat.

Podczas naszego pobytu w więziennej celi był wybierany spośród nas komendant celi. Na rannym apelu zdawał on zawsze relację komendantowi więzienia o stanie więźniów w celi i liczbie chorych więźniów, przebywających w izbie chorych.

W dzień nie wolno nam było korzystać z pryczy, to znaczy można było na niej usiąść, jednak zabronione było leżenie. Cały dzień spędzaliśmy przeważnie na nogach, od czasu do czasu przysiadając na pryczy. Pilnujący strażnicy mieli włożone klucze do drzwi cel więziennych. Do wnętrza celi ciągle zaglądali przez taki "judasz". Otwierano drzwi i wyłapywano leżących. Później strażnicy

pastwili się, kazali skakać "żabkę" na korytarzu.

W celach były przeprowadzane rewizje. W trakcie swego pobytu w celi numer 35, po powrocie z kilkunastominutowego spaceru, który odbywaliśmy na dziedzińcu Zamku, nie dowierzałem własnym oczom, zastając całą gruntownie spenetrowaną. W tym czasie odbył się w celi tzw. hippisz, czyli rewizja. Podczas rewizji odnaleziono przyrząd do krajania chleba, zrobiony przez jednego ze współwięźniów, wyklepany z puszki po konserwach. To było przyczyną, że zrobiono nam wspólną "żabkę" dla wszystkich więźniów celi. Pastwili się nad nami i powiedzieli, że będą nas przetrzymywać na korytarzu aż do chwili zgłoszenia się osoby, która wykonała nóż. Skakanie żabki było uciążliwe i męczące, było przejawem znęcania się nad ludzką osobowością. Ponieważ wśród współwięźniów znajdowały się osoby starsze, dla których skakanie było szczególnie wyczerpujące, wystąpiłem. Zgłosiłem, że to mój nóż, pomimo że nóż nie był moją własnością i nie ja go wykonałem. Rzuciło się na mnie dwóch strażników. Zaprowadzono mnie do karceru. Karcer był pomieszczeniem wielkości szafy ubraniowej, prawie kwadratowym, o wymiarach dziewięćdziesiąt centymetrów na metr dziesięć - metr dwadzieścia, wysokim, bez okna. Vis-à-vis drzwi była umieszczona wąska ławeczka. Praktycznie nie można tam było ani usiąść, ani położyć się. W karcerze przebywałem dwie doby. Po odbyciu tej kary dostałem jeszcze kilka szturchalców. Powiedziano mi wówczas: "No, odechce ci się na przyszłość być krnąbrnym i nie przestrzegać więziennego regulaminu!".

A właściwie - jakież był ten więzienny regulamin? Żadnego regulaminu nie było! Traktowano nas jak złoczyńców, jak łobuzów, czego dowodem jest, iż przebywaliśmy niekiedy w celach łącznie

z esesmanami, gdyż i tacy byli w 1945 roku, oraz z Ukraińcami z band UPA.

W trakcie pobytu w celach bardzo uciążliwa było korzystanie z toalety. Wyprowadzano nas rano zbiorowo do ubikacji, gdzie było parę fizuarów do załatwiania się i dwie umywalki. Wszystko odbywało się na komendę "Szybko! Szybko!". Było za mało czasu, ze względu na czasowe nie było możliwości umycia męszki, brakowało nawet czasu na umycie się i załatwienie się. Praktycznie zmuszeni byliśmy do korzystania z kibli w celach. Różne były dolegliwości, wielu więźniów było schorowanych i znerwicowanych, tak więc i ich żołądki były w różnym stanie. Bardzo często więzień musiał załatwiać się w celi wśród współwięźniów, korzystając z kibla. Jego zadaniem było następnego dnia rano, z chwilą otwarcia celi, zająć się tym kibelem- wyczyścić, wymyć go i z powrotem przynieść do celi. Takie panowały zasady, ustalone w celi. Jeżeli bywali następni korzystający z kibla, automatycznie wybawiali pierwszego z nieprzyjemnego obowiązku czyszczenia.

Były również kary dla więźniów w postaci pozbawiania nas spacerów. Sp. po wspomnianej już rewizji w celi, podczas której znaleziono nóż, wszystkich więźniów pozbawiono spacerów na okres jednego tygodnia.

Włosy mieliśmy obcięte do gołej skóry. Pozbawieni byliśmy pasków od spodni i sznurowadeł od butów. Plagą były najróżniejsze insekty, szerzyły się pluskwy, myszy, nie mówiąc już o wszach. Tak wyglądało nasze więzienne życie w momencie odzyskania przez Polskę powojennej niepodległości.

Chciałbym wspomnieć o jeszcze jednej sprawie, którą zapamiętałem z pobytu na Zamku. Chodzi mianowicie o formowanie transportów.

Z cał wybierano osoby, nawet i te bez wyroków, które następnie były dołączane do transportów. Wśród więźniów mówiono, że wywożono ich do innych więzień lub do Związku Radzieckiego. Takich transportów było bardzo dużo.

Dla ciekawości jeszcze powiem - co mi jest wiadomo i co nie jest żadnym kłamstwem z mojej strony - że wyroki śmierci po sprawach odbywały się pod Kaplicą Zamkową. W obudowie więziennej dało słyszeć się strzały. Dochodziły one do nas spod Kaplicy. Wyroki śmierci były wykonywane przeważnie nocą.

Chcę także nadmienić o religijności, jaka panowała w celach. Codziennie rano śpiewaliśmy "Kiedy ranne wstają zorze". Trwało to jednak tylko do pewnego momentu. Z czasem - jeszcze przed opuszczeniem przez mnie więzienia - śpiewanie pieśni religijnych zostało zabronione.

Moim oficerem śledczym od momentu aresztowania do momentu rozprawy był pan Bernat. Bernat był blondynem w wieku trzydziestu kilku do czterdziestu lat - tak to określam z okresu dość odległego. Dowiedziałem się później, iż pracuje on jako nauczyciel w jednej ze szkół. To był zdecydowanie nieciekawy człowiek. Jako młodego chłopaka, gówniarza, traktował mnie jak dorosłego. Cwo traktowanie jak osobę dorosłą sprowadzała się do bicia, nie zwracając uwagi na to, że mogą wyrządzić mi krzywdę.

Kadzania odbywały się przy użyciu różnego rodzaju pejczy, pałek. Bito tym, co było pod ręką. Dzisiaj człowiek wspomina to jako koszmar. Zupełnie nie mogę uzmysłowić sobie, jak można w ten sposób traktować ludzi, tak jak traktowano nas na Zamku.

W trakcie mojego pobytu w więzieniu do celi wprowadzano osoby, które współpracowały z Urzędem Bezpieczeństwa. Osoby te udawały bardzo szkanowanych i pobitych w trakcie śledztwa, starając się tym sposobem jak najwięcej wyciągnąć z nas podczas rozmowy.

Następnie pewnego dnia ni stąd, ni zowąd, przenoszone ich do innej celi. Natomiast więźniowie, którzy kontaktowali się z takimi osobami, były zabierane na ponowne śledztwo.

Śledztwa, które odbywały się na Krótkiej, nie były zakończone. Do więzienia na Zamku w dalszym ciągu przychodzili oficerowie z Urzędu Bezpieczeństwa, w celu kontynuowania śledztwa. Na przesłuchania w więzieniu na Zamku byłem wzywany trzykrotnie przed rozprawą. Następnie oznajmił mi, iż 26 czerwca odbędzie się sprawa przed Wokskowym Sądem Rejonowym.

Sprawy odbywały się z reguły w gmachu apteki administracyjnej na parterze. Obecnie tego budynku już nie ma. Była to faktycznie sala rozpraw - taka, jak w sądach. W skład sędziowski wchodziło tylu wojskowych, ilu było aresztowanych młodych chłopców. Niektórzy byli starsi ode mnie, w wieku osiemnastu - dziewiętnastu lat. Ja byłem jednym z młodszych oskarżonych w naszej sprawie. Jeden sędzia był po cywilnemu, resztę składu sędziowskiego stanowili wojskowi - był pułkownik w mundurze wojskowym i umundurowani żwownicy. Od adwokata dowiedzieliśmy się, iż po raz pierwszy dopuszczono do naszej sprawy obrońców cywilnych. Byli to obrońcy z urzędu, niezwykle przyjemni ludzie. Ze swoim bezpośrednim obrońcą, mieszkającym na rogu Lipowej i Skłodowskiej, spotykam się do dzisiaj. Adwokat, rozmawiając ze mną przed rozprawą, zapytał o moje samopoczucie. Odpowiedziałem, iż czuję się dobrze. Obrońca jednak stwierdził: "Ależ nie! Ty czujesz się źle. Pamiętaj, że moim celem jest, aby cię stąd wyciągnąć.". Jednak bezpośrednio po zakończeniu sprawy, wyroki nie zostały nam odczytane.

Po sprawie trafiliśmy do baszty więzienia na Zamku. Następnego dnia, o godzinie piątej rano, na baszcie odczytano nam na

stojąc nasze wyroki. Wyroki były różne. Otrzymałem karę czterech lat więzienia, lecz były również wysokie wyroki, w granicach dwunastu - piętnastu lat więzienia. W mojej sprawie wyroków śmierci nie było. *ragną podkreślić, iż intencją mojej relacji jest maksymalnie obiektywne oddanie prawdy o wydarzeniach, których byłem naocznym świadkiem i uczestnikiem. Dlatego nie mogę mówić o rzeczach, które nie miały miejsca. Zagnaczam więc, że wyroków skazujących na karę śmierci w naszej sprawie nie było. Praktycznie nie miałem nadziei, iż wyjdę wcześniej jak po czterech latach.

Po odczytaniu wyroków powróciliśmy do swoich wyjściowych cel, z których wyprowadzono nas na rozprawę. Po kilku dniach pobytu zabrano nas ponownie na basztę, nakazując nam zabrać ze sobą wszystkie swoje rzeczy. Na baszcie przesiadeliśmy dwa dni.

Z baszty zaprowadzono nas do pokoju, w którym zabierano do depozytu różne rzeczy osobiste. Teraz wydano nam te rzeczy. Następnie wydano nam zaświadczenie z pobytu w więzieniu. Pamiętam treść tego zaświadczenia: "Tadeusz Ossowski, skazany wyrokiem Wojskowego Sądu Rejonowego w Lublinie z dnia 26 czerwca 1945 roku za przynależność do Armii Krajowej, zostaje zwolniony". Podpisywaliśmy jeszcze takie oświadczenia, iż to, co widziałem, zostanie zachowane w tajemnicy i nikomu nie będę tego ujawniał.

Więzienie opuściłem 2 lipca 1945 roku.

Po wyjściu z więzienia przez okres jednego roku meldowałem się w Komendzie Milicji Obywatelskiej na ulicy Ewangelickiej. Meldowałem się tam ze swoimi więziennymi dokumentami. W ostatnim dniu meldowania pani, która przeglądała te dokumenty,

zabrała je mówiąc: "To już nie jest ci potrzebne. Możesz już więcej nie przychodzić". Taki był finał mojej sprawy, po której nie pozostały mi nawet dokumenty z więziennej przeszłości.

To wszystko jest opowiadane z perspektywy odległych lat, w ciągu których wiele rzeczy mogłem już zapomnieć. Niemniej jednak gehennę, którą przeżyłem, będę pamiętał do końca życia. To był dosłownie koszmar. Pobyt w więzieniu w znacznym stopniu zaważył na mojej osobowości. Utraciłem swój młodzieńczy zapał i chęci. Więzienne przeżycia załamały mnie.